



Fot. autor

Polska była jakże inna od tej przedwojennej, jaką opisywali mu rodzice. Zburzone, spalone kamienice. Kikuty drzew na ulicach. Równie przygnębiał nowy ustrój. Pierwsze tygodnie szkolnego apelu ośmioletniego Zbyszka rozpoczynały się jeszcze pieśnią „Kiedy ranne wstają zorze”. Jednak kolejne lata już sowieckimi strofami ku chwale sowieckiej „partii”... śpiewanymi po polsku. Marzył o wstąpieniu do harcerstwa, ale wiedział, że będzie musiał nosić czerwony krawat i chwalić Stalina, więc zrezygnował z uczestnictwa w tej propagandowej organizacji.

– Pamiętam to ciśnienie, jakie nakładano na dziecko, to pilnowanie siebie, by nie powiedzieć czegoś przeciwko komunistom. No i przestrzeganie przez rodziców, by nie mówić, o czym się rozmawia w domu – wspomina Zbigniew Ostaszewski.

Czas umykał. Ojciec Zbyszka był kolejarem, więc syn wybrał techni-

kum kolejarskie. Ledwie je skończył, został powołany do wojska. Później ożenił się. Przyszły na świat dzieci. I, podobnie jak rodzice, ledwie wiązał koniec z końcem. Ale zewsząd słyszał, jakie to wielkie sukcesy gospodarcze niesie ze sobą komunizm.

Z czasem został maszynistą. Przemierzał tysiące kilometrów, wożąc pasażerów. Niekiedy nawet za granicę. Żeby lepiej zarobić, wybierał nocne kursy.

W tę z czasem nudną, ale i akceptowalną codzienność wtargnęła niczym piorun wizyta Jana Pawła II w Polsce.

– Mój dziewięcioletni syn namówił mnie, bym wstąpił do służby kościelnej w związku z przygotowywaną

pielgrzymką papieża. Poszedłem więc na spotkanie na placu Grzybowskim, gdzie odbywały się szkolenia. No i był to taki mój pierwszy promyk nadziei, mówiąc banalnie, że coś się może zmienić w Polsce. Ale absolutnie nie

więzałam jeszcze tej wizyty z jakąkolwiek naszą wolnością czy niepodległością – opowiada Zbigniew Ostaszewski. – Był we mnie jakiś rodzaj inercji, bezsilności. Nie myślałem o tym, że komunizm

za mojego życia upadnie. Oczywiście, bez wątpienia funkcjonował też taki stereotyp wbity nam do głowy przez komunistyczną propagandę, że w tym PZPR są niemal wszyscy. Że wszyscy popierają komunistów. Kiedy

LEDWIE WIĄZAŁ KONIEC Z KOŃCEM. ALE ZEWSZĄD SŁYSZAŁ, JAKIE TO **WIELKIE SUKCESY** GOSPODARCZE NIESIE ZE SOBĄ KOMUNIZM.



pracowałem w grochowskiej elektrowozowni, zatrudniano tam ponad 500 osób. Myślałem, że niemal wszyscy są w PZPR. Później okazało się, że ledwie jedna czwarta. Ale wszechobecna propaganda wywoływała wrażenie, że oni wszędzie są. Choć z drugiej strony i byli, bo wszystko kontrolowało wojsko, milicja, SB i ORMO.

Kiedy zawiązała się już Solidarność na Mazowszu, grochowska elektrowozownia nie była pierwsza w regionie. – To była wielka zasługa pana Stefana Kopytowskiego. Można powiedzieć, reprezentował tak zwaną starą brat kolejarzką. Stoimy w naszych motowozach na sąsiednich peronach Dworca Gdańskiego i on do mnie: „Panie Ostaszewski, wszędzie zakładają w kraju Solidarność, a my co? Na co czekamy?”. Odpowiedziałem, tak niemal mechanicznie: „No dobrze, to pójdę jutro na Szpitalną i dowiem się, jak założyć Komisję Zakładową”. Mieścił się tam wówczas region mazowieckiej Solidarności. Poszedłem. Wszędzie drzwi były dla mnie otwarte. Wszędzie mnie zapraszali. Duch we mnie urósł. Działacze „S” zadawali mi pytania, skąd przychodzę? Ilu ludzi pracuje w elektrowozowni? Jak są nastroje w załodze? I tym podobne. Poczułem się niezmiernie ważny. Podobne pytania zadawali mi obecni tam dziennikarze zagraniczni. Byłem niezwykle tym poruszony i niesamowicie dumny. Poczułem też, że coś się zaczyna we mnie zmieniać. Dostałem formularze do wypełnienia. Instrukcje, jak zakładać KZ „S”. Dowiedziałem się, że trzeba utworzyć Komitet Założycielski. Nie miałem z tym żadnego problemu. Znalazłem od razu dziesięciu kolegów w samym środowisku maszynistów. Również w innych wydziałach. Z elektrowozowni Grochów

zebrałem blisko trzysta deklaracji. To był dla mnie szok. Ale niebawem, w ramach represji przeniesiono mnie na zdecydowanie mniej płatne stanowisko. Z pociągów dalekobieżnych na jednostki, czyli pociągi podmiejskie. Z drugiej strony na tych podmiejskich było o tyle miło, że bez tego komunistycznego towarzystwa.

W niecały miesiąc do „S” przystąpiło trzy czwarte załogi elektrowozowni Grochów. Ksiądz proboszcz poświęcił zakład. Podczas wyborów KZ „S” sto procent zespołu poparło Zbigniewa Ostaszewskiego na prze-

KIEDY PRACOWAŁEM W GROCHOWSKIEJ ELEKTROWOZOWNI, ZATRUDNIANO TAM PONAD 500 OSÓB. MYŚLAŁEM, ŻE NIEMAL **WSZYSTCY SĄ W PZPR.** PÓŹNIEJ OKAZAŁO SIĘ, ŻE LEDWIE JEDNA CZWARTA.

wodniczącego. Jak sam przyznaje, w dużej mierze była to zasługa Stefana Kopytowskiego, który miał ogromny autorytet wśród załogi.

– Martwiłem się, czy temu wszystkiemu podołam. Ale jakoś sobie poradziłem. Ludzie przychodzili z różnymi sprawami, nawet błahymi, ale i merytorycznymi. Miałem także chwytające za serce momenty, kiedy pracownicy zwierzali mi się niczym księdzu w konfesjonale – wspomina Zbigniew Ostaszewski. – Nigdy nie zapomnę też wizyty pewnej bufetowej, prostej kobiety, która zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Mówiła, że przychodziły do niej nasze urzędniczki,

więc coś im tam zostawiała na lewo, a tym samym było mniej do kupienia dla robotników. Bardzo się z tego powodu sumitowała i złożyła deklarację: „Panie przewodniczący, ja już nie chcę tak żyć. Nie chcę oszukiwać. Chcę żyć normalnie”. To dziś nie wydaje się niczym nadzwyczajnym, kiedy mamy pełne półki w sklepach i wypełnione lodówki w domach. Ale wówczas, gdy liczył się każdy kęs, to wyznanie kobiecy było moralną odwagą. Znaczyło to, że naród wydobywa się z komunistycznego fałszu.

Szesnaście miesięcy legalnego działania Solidarności było dla Zbigniewa Ostaszewskiego czymś w rodzaju wiosny. Zobaczył, ile może zdziałać jako związkowiec. Jak zmienić wiele krzywdzących decyzji kierownictwa wobec załogi. Dowiadywał się o historii Polski, czytając książki zakazane przez komunistów. Pod koniec szesnastu miesięcy legalnej działalności, jak podkreśla, zaczął coraz częściej myśleć, że komunistyczne rządy można obalić.

– Narastała we mnie wiara, że komunizm nie jest taki silny, jak się wydawało – mówi Zbigniew Ostaszewski. – Zobaczyłem, że ci partyjni nie są ideowi. Wielu z nich zapisało się do PZPR ze względów koniunkturalnych. Bo chcieli wcześniej dostać mieszkanie, przydział na samochód itp. Oczywiście byli i „twardogłowi”, ale też sporo osób rzucało legitymacje PZPR i już nigdy nie wracało do tej zbrodniczej organizacji.

Stan wojenny zdawał się grzebać nadzieję wielu Polaków na wolną Polskę. Komuniści z kolei widzieli, że rozbudzone przez ruch Solidarności nadzieje przynosiły ludziom wiarę, że można wywalczyć wolność. Solidarność bowiem pokazała, że naród

może się zorganizować wokół rozwiązywania swoich problemów bez udziału komunistów. Wraz z wprowadzeniem stanu wojennego kilka milionów z dziesięciu odpadło. Zostały setki tysięcy. Później dziesiątki tysięcy. Wreszcie pozostało kilkadziesiąt tysięcy walczących niezłomnie do 1989 roku. Wśród nich znalazł się Zbigniew Ostaszewski.

– Trzynastego grudnia poszedłem do Zarządu Regionu mazowieckiej „S”. Wszystko już zdemolowało ZOMO – opowiada Zbigniew Ostaszewski.
– W poniedziałek wpadłem do naszego biura KZ „S” elektrowozowni. Nic nie było naruszone. Zabrałem pieczątki, papiery, które mogły zainteresować SB, i spokojnie wyszedłem, nie będąc przez nikogo niepokoiony. Kierownik naszego działu, również naczelnik, byli po naszej stronie. Siedzieli w biurze zakładowi ormowcy, ale agresywni szczególnie nie byli. Przesunięto mnie do pracy w okolicy Dworca Gdańskiego na takiego jakby ciecica. Mnie to zresztą odpowiadało. Jeszcze przed stanem wojennym powołaliśmy kolejarską Komisję Międzyzakładową „S”, która bardzo dobrze działała. Oczywiście stan wojenny rozbił ją, ale nie naszą solidarność. Dzięki temu miałem znakomite kontakty w całej Polsce. Przewodniczący KZ „S” przywozili swoje materiały z kraju informujące o tym, co się dzieje w regionach. Bardzo szybko, dzięki naszej kolejarskiej braci, zaczęliśmy wysyłać je na Zachód. Do RWE. Później, kiedy poznałem Czesława Bieleckiego, szefa wydawnictwa CDN, także docieraliśmy do Paryża, w tym do Jerzego Giedroycia. A skontaktował mnie z Czesławem Bieleckim przyjaciel naszej rodziny, również działacz podziemnej Solidarności Mirek Laskowski. Był mocno osadzony w środowisku warszawskiej inteligencji. I w ten sposób zaprzyjaźniłem się z Bieleckim, który, jak się okazało, był znakomitym organizatorem. Potrafił trzymać całe wydawnictwo w ryzach.

Najczęściej przemycali do Paryża bibułę i bieżące informacje o tym, co się dzieje w kraju. Część rzeczy była odbierana w RFN. Także analizy gospodarcze i opracowania społeczno-polityczne. Również serie zdjęć z manifestacji.

– Pociągami szedł najpospolitszy przemysł, więc celnicy byli opłacani i niezbyt gorliwie przeszukiwali składy – opowiada Zbigniew Ostaszewski.

– Później dowiedziałem się, iż przemysłownicy kolejowi myśleli, że jesteśmy konkurencją. Zakładałem skrytki. Ustaliliśmy miejsca odbioru w Berlinie i Paryżu. W umówionych miejscach Dworca Centralnego w Warszawie natomiast odbierałem też korespondencję do podziemnego Tymczasowego Komitetu Regionalnego NSZZ „S”.

Po jakimś czasie Czesław Bielecki zaproponował Ostaszewskiemu, by został kolporterem na Warszawę i region. Działali wspólnie z Laskowskim. Zorganizowali cały system kolportażu, hurtownie książek i gazet,

na Ochocie u pewnego nauczyciela. Przyjeżdżam któregoś dnia, a on do mnie: „Bardzo cię przepraszam, ale ja już nie będę zajmował się prowadzeniem hurtowni, bo żona nie wytrzyma nerwowo”. Powiedziałem „trudno” i rozstaliśmy się w przyjaźni. Tak też bywało. Sam też woziłem książki. Najpierw przy pomocy kolegi z Pragi, maszynisty, który miał wartburga. Kiedy zmarła moja mama, dostałem niewielki spadek i za tysiąc dolarów kupiłem używanego malucha. Później zamieniłem ten samochód na skodę. Była lepsza, bo za tylnym siedzeniem miała naturalny schowek. Woziłem też prasę czy książki taksówkami. Taksówkarz czasem wychodził z samochodu, chcąc mi pomóc. Widział, że mam ciężkie pakunki. Pytał, co ja wiozę. Odpowiadałem „Panie, wojna jest, wiadomo, granaty wiozę”. Albo innym razem, zgodnie z prawdą, że książki. Ale jakie, to już nie dodawałem. No i tak dawałem odpór komunistom w tej wojnie z Polakami.

**TO BYŁ TEN CZAS WALKI O WOLNĄ
POLSKĘ, W KTÓRYM I JA MIAŁEM
UDZIAŁ, Z CZEGO JESTEM BARDZO
DUMNY. ŻE DO TEJ WOLNOŚCI
SWÓJ KAMYK PRZYŁOŻYŁEM.
ŻE ZAUWAŻYŁEM TEN CZAS
I ODPOWIEDZIAŁEM NA TEN CZAS.**

miejsca odbioru, składowania. Także siatkę kurierów przenoszących zarówno książki, jak i prasę.

– Nie rozdrabnialiśmy się na kilkadziesiąt gazetek czy książek. Szło to w setki, a czasami tysiące – wspomina siedem lat podziemia w kilku zdaniach Zbigniew Ostaszewski.

– Pamiętam, że jakoś tak w połowie lat osiemdziesiątych miałem hurtownię

mi. Wiedziałem, że ciągle nas ubywa, że nie jest nas wielu, ale też widziałem, że duch w narodzie nie upadał. I że lada moment będzie wolna Polska. Tak się stało. I to był ten czas walki o wolną Polskę, w którym i ja miałem udział, z czego jestem bardzo dumny. Że do tej wolności swój kamyk przyłożyłem. Że zauważyłem ten czas i odpowiedziałem na ten czas. **S**